NUMER 21. DNIA 2. CZERWCA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Z TOMASZA MOORE'A*).

„She is far from the land“

Zdala od ziemi, gdzie rycerz jej śpi,
Rój ją otacza młodzieży;
Dziewczę nie słucha, bo wciąż o nim śni,
Serce jej w grobie z nim leży.

Wtem zanuciła pieśń smętną, jak los,
Co serce od serca oddziela;
Goście słuchają i chwalą jej głos,
Lecz serce już pękło minstrela.

Dla swej miłej on żył, za ojczyznę padł,
Prócz tych dwojga nic nie znał ze świata;
Wróg ziemi rodzinnej wolność już skradł,
Kochanki już dusza ulata.

O wznieście jej grób, gdzie zachodu blask
Ranek zwiastuje świetlany,
Niech ozłaca jej sen, jak uśmiechu brzask
Od ojczyzny rozdartej przysłany.

25/10 1880 L. I.

*) Z prac niewydanych śp. Ludwika Inlendera.

NOWE TORY.

(Miesięcznik pedagogiczny pod redakcją St. Kalinowskiego. — Warszawa 1906.).

Usiłowania reformatorskie na polu pedagogicznem są objawem idącym zwykle w parze z przeobrażeniami społeczno-politycznemi. W chwili takich przeobrażeń powstaje w Polsce Komisja Edukacyjna i wychowuje nowe pokolenie Polaków, którzy, zerwawszy z tradycją staroszlachecką, zaczęli uprawiać niwę pod zasiew nowej, rewolucyjnej Polski. Tak samo też obecnie, gdy tylko Królestwo Polskie weszło w fazę rewolucji, natychmiast rozległ się głośny krzyk nowej szkoły, który przeniknął do głębi całe społeczeństwo, krzyk podniesiony przez tysiące młodzieży szkolnej. Szkoła rosyjska zatruwała przez dziesiątki lat żywy organizm społeczny, paczyła charaktery, nękała dusze, łamała egzystencje, dzieciństwo i młodość znacząc stygmatem tragizmu. Gdy więc młodzież zerwała z tą szkołą tak dzielnie i po bohatersku, społeczeństwo odczuło głęboko, jak ważny teraz na niem ciąży obowiązek: oto obowiązek stworzenia nowego typu wychowania, nowej szkoły. Szkoły, którąby nietylko tem się różniła od rosyjskiej, że będzie miała polski język wykładowy i polskie podręczniki, ale była zarazem polska z rewolucyjnego ducha i wychować potrafiła nowe pokolenie — pokolenie wolnych ludzi. Takie nowe zadania i dążenia wychowawcze znalazły swój wyraz w miesięczniku pedagogicznym p. t. „Nowe tory“, którego dwa zeszyty dotychczas wyszły.

„Nowa epoka wymaga nowych ludzi“ powiedziano tam na wstępie i stąd konieczność wpro-

wadzenia na nowe tory całego systemu wychowania. Jakież są te nowe tory?

Przedewszystkiem należy sobie uświadomić, że „niema ani jednej kwestji pedagogicznej, któraby nie była zarazem kwestją etyczną, społeczną, polityczną, ekonomiczną, psychologiczną lub naukową i że dlatego niema i nie może być specjalnych pedagogicznych recept. Pedagogja łączy się nietylko z tą lub ową poszczególną nauką, lecz z całym współczesnym poglądem na świat“. I stąd wynika żądanie, aby pedagogowie nie posługiwali się jakimiś szablonami pedagogicznych metod, lecz by byli ludźmi samodzielnymi, mającymi swój własny światopogląd, światopogląd odpowiadający nowoczesnym stosunkom i nowoczesnej myśli i w tym duchu rozwijali młodzież.

Zdaje się, że najszczytniejszą zdobyczą nowoczesnej myśli pedagogicznej jest przeświadczenie, że wychowanie nie powinno zabijać w dziecku człowieka. O to właśnie idzie. Nam potrzeba ludzi: na każdem polu pracy społecznej czy naukowej, na każdem stanowisku, we wszystkich warunkach życia. Ludzi, którzyby mieli własne zdanie, myśl krytyczną, którzyby wiedzieli jasno, czego chcą i jakiemi drogami należy dążyć do swojego celu; ludzi uspołecznionych, o rozwiniętem poczuciu obywatelskiem i z tymi kategorycznymi imperatywami w duszy, które w danej chwili każą odruchowo prawie postępować tak a nie inaczej; ludzi pewnych, na których liczyć można, że nigdy nie zawiodą; wreszcie takich, co idą odważnie i z uśmiechem na ustach przez życie, którzy umieją odczuwać radość życia i piękno świata.

Jeżeli chcemy uzyskać taki nowy, szlachetniejszy i wyższy typ człowieka, to nie zabijajmy go odrazu zbytniem wychowywaniem dziecka. Na ogół dziś całe wychowanie polega na rozkazach i na zakazach: tego lub tamtego nie wolno; to i owo trzeba, musi się zrobić — słowem słuchać starszych, rodziców, nauczycieli i każdej zwierzchności. W ten sposób wychowuje się automaty bezmyślne, ale nie ludzi. Więc jakże zrobić inaczej? Przedewszystkiem trzeba pamiętać, że więcej, niż rozkazy, nauki i przepisy moralności, znaczy a t m o s f e r a m o r a l n a, panująca w domu i w szkole, którą dzieci mimowoli wchłaniają; ów ton, na który nastrajają życie rodzice, wychowawcy i nauczyciele, który to nastrój udziela się bezwiednie wszystkim dokoła. Przekonano się niejednokrotnie, że niektóre dzieci nie mają wcale pewnych pojęć, nie są zdolne do pewnych rozumowań, ani nie mogą popełnić pewnych uczynków — zarówno w dobrem, jak i w złem — poprostu dlatego, że tego nigdy dokoła siebie nie widziały, ani nie słyszały. Otóż w wychowaniu atmosfera to grunt. A odpowiedniej atmosfery nie będzie tam, gdzie wprawdzie w odniesieniu do wychowania dzieci posługujemy się najrozmaitszymi, pięknie brzmiącymi frazesami, ale o ich spełnieniu nie myślimy nigdy na serjo. Ta sama matka, która wobec dzieci prawi nieraz rozkazującym tonem albo z namaszczeniem o konieczności pracy, o miłości bliźniego, o zgodzie w rodzinie — ta sama matka kłóci się z ojcem, wymyśla służącym, a nieraz wiedzie życie bezczynne i puste. Ten sam profesor, co głosi szczytne zasady miłości ojczyzny, co udowadnia potrzebę narodowego wychowania, sam gnie się, jak trzcina, przed c. k. władzą. Z tego widać, że istnieją dwa rodzaje prawd: jedna, którą wpajamy dzieciom, a druga, wedle której sami postępujemy; że co innego teorja, a co innego życie realne. Młodzież się doskonale w tem wszystkiem orjentuje i krytycznie ocenia swoich wychowawców. Jeżeli jest uczciwą, to wtedy ze słów wyciąga obowiązujące konsekwencje, ale wówczas staje w sprzeczności z domem i ze szkołą i jest „nieudałem dzieckiem“, nad którem rodzice i nauczyciele rozdzierają sobie szaty z moralnego oburzenia. Albo też nasiąka tą samą obłudną frazeologją, tą samą zgnilizną moralną, czy praktycznością życiową — mniejsza zresztą o nazwę — i jest w zupełnej zgodzie ze swojem otoczeniem. Stąd wynika bardzo ważna zasada dla wychowawców: zanim zaczynamy wychowywać młodzież, zacznijmy od wychowywania siebie — aby słowa i czyny nasze nie były w rozdźwięku, aby życie nasze było dla młodzieży dobrym wzorem do naśladownictwa.

Poza atmosferą moralną ważnym jest oczywiście ś w i a d o m y k i e r u n e k, jaki nadajemy wychowaniu młodzieży. I to kierownictwo nie powinno polegać na rozkazywaniu pewnych rzeczy i na zakazywaniu innych. Tu sztuka wychowawcy dokazać musi tego, by dziecko postępowało tak a nie inaczej, dlatego, że samo uznaje, że tak właśnie jest dobrze i dlatego, że tego dobrego chce. Wychowawca dojdzie do tych rezultatów tylko wtedy, gdy będzie z dzieckiem postępował, jak z człowiekiem rozumnym; gdy nie łając i nie irytując się, ale sposobem spokojnym, w chwilach, gdy sam będzie zrównoważony, wytłómaczy wy-

chowankowi, dlaczego należy robić to, a unikać tamtego — i to ze względu na przyszłe obowiązki i zadania życiowe, do których się człowiek od dzieciństwa wprawiać i przygotowywać musi. Gdy wychowanek zrozumie, że wychowawca traktuje go z powagą, należną człowiekowi, że już teraz widzi w nim przyszłego człowieka — a nie dziecko, do którego zwykle starsi odnoszą się lekceważąco albo protekcjonalnie; że nie daje mu na każdym kroku odczuwać swej przewagi, przewagi silniejszego nad słabszym, co mimowoli wywołuje nawet w duszy dziecka uczucie upokorzenia i chęć robienia na przekór, wtedy podda się z całem zaufaniem i zapałem kierownictwu wychowawcy i słuchać go będzie chętnie.

(Dok. nast.).

Rozalia Niedźwiedzka.

STEFANJA ŁOZIŃSKA.

MARYNINA DOLA.

— Bauch!...[1])

Wysypały się czerwonawe, żółto oszadzone liście kapusty. Nad małą stertą ziela zachwiała się szara płachta i zwinięta w kilkoro legła obok.

— Nakrązam, skoro świt... coze teroz? — szepnęła dziewczyna.

Pojrzała na izbę.

— Ujnie pomoge...

Założyła fartuch pod brodę, skróś gorseta, wyszukała kozika i przysiadła do starej kobiety. Za chwilę wpadał do szafla oskrobany ziemniak, biały miąż pryskał na twarze, chlibotała woda, a za ścianą odzywał się tępy stuk.

— Łysa śtucha...[2])

Cisza.

Za chwilę stara podnosi głowę.

— Haa?

— Jee — nic — ta...

— Cosi godos...

— Dyć Łysa śtucha...

— Bida człekowi na staroś...

— Jee... tacyście głusi — żachnęła się młoda.

[1]) Wykrzyk; — [2]) szturka.

Znowu ta sama cisza.

— Ujnoo!

Nic.

— Uujno! — krzyknęła Maryś do ucha starej.

— Jak godos?...

— Juzew se zamyśliła...

— Dy o co?

— O Marcinie Kocurowym...

Stara kiwnęła głową, sięgając do koszyka.

— Paciorzy go wyucę, coby jegomoś nie krzykali...

— Haa? — wytężyła stara zamglone oczy a Maryś kończyła jej do ucha:

— ...Sešć prawd to zawdy zabacy... telo, co pódę za niego; nie radaw ciotkom[3]) ostać — do wos ta przylece choć kiedy, to kielo telo zrobie...

— To na opowiedzi trza dać...

— Juści...

— Ale chłop nie barz... jakisi niemrawy... — dodała stara.

— Taki-ta — wykrzywiła dziewczyna wargami.

Cisza.

— Ujno!... — trąciła ją.

Pojrzała stara.

— Ligajcie, cobyście sie wywcasowali.

— No, no!...

Dziewczyna dokończyła roboty, poskładała, a teraz poleci do dziwek.

— Marynaa! — zawróciła ją z proga ciotka.

— Co-ta?...

— Cobyś dziecięciu, jak ci Poniezus nagodzi, nie zmywała ciemienia, wis?... Boby było głuptawe...

Oparła Maryś głowę na ręku i zadumała się, potem ujęła rękę ujny, dotknęła wargami i rzekła:

— Ujno!... nie zabace ja o was, kiejście poucni[4]) la siroty...

Głos jej miał echa dalekiej, skądsi napływającej żałości. Zasuły[5]) się oczy starej jakąś mgłą, niby łzami, ale ich nie widno. Pogubiły się w fałdach zmarszczek, zataiły w sieci porytej czasem, na twarzy ujny — może poszły hań — do tych skarbców, kędy się gromadzą one bez słów smutki — one poczęte bezświadomie a lata trwające szare dole.

Wreszcie...

— Polece — szepnęła dziewczyna.

— Dy leć!... cas ci po temu.

[3]) starą, niezamężną; — [4]) radzący; — [5]) zasnuły.

Maryna narzuciła chustkę i wybiegła. W sadku ułapiło ją cnienie. Pamiętała, że było ono dwojakie. Drzewiej to chodziło jej po sercu, niby cosi wołające, a barz miłe. Jakto nie raz w Sobótki dybała oczyma one po górach światełka ogni, nikiej śklące gwiazdy — a pod zachmurane niebo biegły hukania juhasów, albo śpiewki, zawdy mocne a coraz to inaksze, to inoby leciała po ten ogień, po te głosy; cosi zrywało się w piersiach i szło wielkie, wyższe od sinego dymu żywicowych kozubów. Zapierało się we wnątrzu jakiem-si weselem, radowaniem — to znowu wybiegało dumkami o Jasiu, co pomar skrony kochania, o żalącem sercu, o dziewczynie, co podle brzeziny wianeczek straciła. Abo łowiła echa, smęcąc o zabaczonych[6]) po przepaściach głosach i o tych, co one tam ostawić musieli na wieki zatraconą duszą pokutując.

A teraz — teraz od Marcina Kocurowego to ma inaksze cnienie. Nie leciałaby — ino wypatruje drogi, coby zdoleć równo iść; a tu nie porada. Jakości ciężko, odbiegło ją śpiewanie — w krztoniach[7]) zawdy cosi dusi, jakby się płakać kciało.

Hej! — bo Marcin to nijaki chłop. Nijaki — myślała. — Stary, o to nie ma nic; ale do roboty nie barz, gruntu sprawnie, gdowiec, po niebożycce ostało dziopie głuche i chodak[8]) niemowa i doś-ta połamany. Telo, że musi póść!... Bez wiana nikt jej nie zechce... Jak w karczmie, to Kuba zawdy: gębe mos, jak miodowiec![9]) a skoro teroz, to nie strzymoł, ino do wójtowej sie wdał, chociaj świdrowata[10]). Odrzuciła warkocz w tył i westchnęła.

— Zwyczajnie... jak ta po świecie!...

Zmarszczyła brwi, gryząc wydatne wargi. Z malowanych rumieńcem policzków, z oczu połyskliwie czarnych biła niechęć do świata i pragnienie życia szczęsnego.

— Niech-ta! — i porwała się do Sobeczkowej chałupy, gdzie się każdy dzień zlatywali na fryjirkę i granie.

— Maryna Sularzowa!... — zawołali.

— Dy podź...

Zrobiono jej miejsce na ławie.

— O! pani młodo!...

— Jee!... tako... — wzruszyła ramionami.

— Ba — jako??

[6]) zapomnianych; — [7]) w krtani; [8]) chłopiec; — [9]) piernik; — [10]) zezowata.

Nic nie odpowiedziała. Oczami obiegła izbę. U pieca parobcy tabak ćmili, spluwając na środek izby.

— Cosi Maryś krzywo? — zagadnął jeden.

— Bo starego chłopa biere...

— Dobry i taki... radaby każda...

— O! jakże — zaroz — zachichotały dziewczęta.

— Posiedź![11]), kiej do cie nie godom!! — zamówiła ostro Maryś.

— Honorna!?

— Wyhebluwać...

— Kces?...

Przystąpili do dziewczyny. Ta schowała się za gazdynię; parobcy ułapili obok siedzącą Kaśkę a ułożywszy ją w skurczonej postawie, posuwali we czwórkę szybko wzdłuż ławy w tył i naprzód, aż wypaczane drzewo trzeszczeć poczynało.

— Ojej!... dy beskurcyje... kanofosko...[12])

— Co ta o kanofoskę...

— O raty! puscajcie psiekości!...

Reszta zgromadzonych pokładała się ze śmiechu — wreszcie puszczono dziewczynę. Posiadali rzędem na ławie, przeplatając — parobcy, dziopy i niewiasty.

— Dy co ta za naród taki! — wykrzyknęła Maryna Krupkowa — nie dryloj[13]) sie... — i pchnęła w tył łokciami.

— A bez co siedze koło cię? — zapytał tęgi parobek.

— Widzis go!!

— Cie!!...

— Ha-ha-ha!

— A bez to i tak patrzy mi sie,ześ nie cliwo...[14])

— Ołaskotana... Józek ta wi...

— O! jakze — Józek ta casu nimo...

Krupkowa pokazała wszystkie zęby, duże, czerwone wargi w całość się stopiły z dziąsłami.

— Spróbuj, to uwidzis — dopowiedział z pod pieca Marcin Kocurowy.

— Co ta gdowiec?... Chybaj do Maryny!...

Jedni rzucili się do chłopa, ciągnąc wyrywającego się na środek izby, drudzy oglądnęli się za dziewczyną. Powstały krzyki, śmiechy, łapania. Krupkowa wtuliła się między ławy, wołając:

— Nie gidoj!... nie gidoj!...[15])

[11]) daj spokój; — [12]) spodnica; — [13]) popychaj; — [14]) łaskotliwa; — [15]) nie łaskocz.

Zawzięty parobek chciał ją gwałtem wyciągnąć; nie dała mu się, więc stanął nad nią i śmiał się przeginając. Tymczasem zgraja[16]), jak cietrzewie, biła rozigranymi głosami, tupała o ziem, goniąc upatrzoną. Choć kędy zabłysła im w garści czerwona chustka, ściągnięta dziewczynie w zamieszaniu — albo tasiemka, wyciągnięta z gorseta — tam wypadł do powały kapelusz... a chałupa drżała od śmiechu — ino po szybkach ociekała rosa na fugi i świecącymi sznurkami zlewała się w małe, ciche stawki.

— Dy ziandary wlazom... cichojcie...

Troszkę przycichło — zaczęto szukać potraconych rzeczy. Któryś wyjął ręczną harmonję. Zagórował ton, z pierwotku jękliwy, zawodzący, niby resztka poszumu po tym gwarze; potem ochotniejszy, zasilony wybijanym taktem, aż doszedł „obertanego". Wtedy umilkł hałas a począł iść szmer bosych nóg i żarliwego czekania i owej gorączki w chwytaniu rąk, drobnego serc bicia... Aże sypał się kurz nikły od zniszczonych forztów[17]) het! ponasiadał na tańczących, przyćmił światło naftowej lampki, spowijał wokół tumanem — ino ton wciskał się żywotnie, barwił ruchy i wygrywał ono niespożyte wesele.

A Marynie nie nachylało się ku wesołości. Jakisi czas posiedziała, oparłszy głowę na ręku, oczyma hetki za siebie pozierając. Ciągnęło ją do pola — nagarnęła włosy pod chustkę i na próg wyszła.

Miesiąc obległ światłem mgły, chłodną rosą szły jakoweś dumania i ścieliły się smugami nad chatami — odlatywał od nich przytłumiony dźwięk znojnego dnia — ino cichość nachodziła od polanic, od sępionych cieniem gór.

Nachodziła też dziewczynie onem cnieniem[18]), kołyszącem się wespół z oddechem łąk — roznsnutych białych blasków — rosą osrebrzanych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

FELIKS GWIŻDŻ.

ZIELONE ŚWIĘTA.

Wystroiliśmy naszą chatę starą w młodzieńczą zieleń i kwiaty różnobarwne.

O wczesnym świcie, kiedy srebrzyste gwiazdy jęły się zlewać z złotem światła wstającego dnia, wyszliśmy wraz z posiwiałym ojcem do gęstego lasu, by nałamać kwitnących gałęzi. Dusze nasze kornie modliły się Słońcu, co krzewi bujne życie i w jasnem rozradowaniu śpiewały błękitne śpiewki o cichej pogodzie święta. Nasz siwy ojciec opowiadał w drodze piękną przypowieść o zielach czarodziejskich, co miłość rozbudzają, a my — siostra, brat i ja — słuchając pilnie, patrzyliśmy na rosy srebrzyste, co się rozpostarły sennym całunem po długich łanach młodych zbóż, po łąkach i po lasach, po górach i dolinach.

I wargi nasze poczęły wielbić utajonym szeptem wszystkie łąki umajone, wszystkie rzeki rozśpiewane i wszystkie lasy, w bicie serca matki-ziemi zasłuchane. I wtedy po raz pierwszy obudziła się w nas płonąca tęsknota za ogromnem, ogromnem kochaniem...

Kiedyśmy weszli w ciemny las, dech nam zatamowało to przedziwne granie, jakie się niesie po lesie, hej! po lesie....

Kiedyśmy weszli w ciemny las, oczy nasze zamknęły się same, by pierwszy cud, dojrzany w tych przenajświętszych mrokach, zamknąć na wieki, hej! na wieki...

Kiedyśmy weszli w ciemny las, usta nasze, nabrzmiałe żądzą młodzieńczą słodkich pocałunków, przemieniły się w róże kwitnące i wonne.

A dusze nasze stały się nagle słoneczną pieśnią o pięknem życiu, któreśmy zawsze kochali, bo było n a s z e.

I poczęliśmy zwolna obrywać soczyste gałęzie buków i dębów stuletnich, iżby umaić naszą starą chatę.

Najpiękniejsze konary chętnie skłaniały się ku nam, muskając liściami nasze zdrowe lica, i ochoczo szły na umajenie chaty.

Radość bezmierna opanowała nas, gdyśmy już mieli bujne snopy zielonych gałęzi na narędziach. I rzekł ojciec: chodźmy stroić, bowiem dzień już nastał.

Wyszliśmy z lasu. A oto zroszone łany zbóż i przymglone łęgi, chaty maluśkie i szałasy w ogniu stanęły. Słońce zalało cały świat morzem gorącego światła.

I dusze nasze jęły wielbić Słońce...

A gdyśmy przyszli ku naszej chacie, ujrzeliśmy, jak matuś ukochana stali w progu i podparłszy bieluśką głowinę na spracowanej ręce, płakali radośnie. Świętemi łzami, nad wszystko ukochanemi przezemnie, błogosławiła nam, swym dzieciom i dzieciom ziemi.

[16]) młodzież; — [17]) podłogi; — [18]) tęsknotą.

A potem ojciec ujął mię za rękę i rzekł: umaj tę chatę. Z młodzieńczą siłą i radością jąłem stroić naszą starą chatę w przecudną zieleń, a brat i siostra, którzy mi podawali gałęzie, śmiali się do mnie przyjaźnie i cieszyli. A gdy już była cała chata w zieleni, płakaliśmy wszyscy słonecznie, jak dzieci, którym Pan Jezus raj pokazał w nocy.

I stał się cud.

Gałęzie wszystkie powrastały w poczerniałe ściany naszej chaty, płazy szerokie odżyły — i cała chata zakwitła i po dzień dzisiejszy kwitnie i woła do Ciebie, którą kocham:

— Przyjdź w moje progi na Zielone Święta, przyjdź, ukochana...

Z ZA KRATY.

LUŹNE KARTKI.

(Ciąg dalszy).

Podziękowałam, ale odmówiłam wszystkiego, obecne jedzenie wystarczało mi; wina nie piję nigdy. Poprosiłam tylko o świecę.

Zawahał się.

— Regulamin więzienny nie pozwala — rzekł w końcu.

— Wszak i wina nie pozwala, panie pułkowniku — rzekłam, czując, iż ustąpi — a jednak doktor przepisać może, mnie zaś więcej dobrego zrobi światło w nocy, niż wino, może więc jako chora dostanę świecę.

— Czy pani już miała podanie? —zapytał, uchylając drzwi Makiewicz, a odebrawszy odmowną odpowiedź, rzekł:

— Niech mi pani wierzy, że doprawdy nie mogę jej dogodzić.

— Panie pułkowniku — rzekłam — doprawdy mnie świeca potrzebną jest do zdrowia, ulegam takim zawrotom głowy, mogę w nocy potrzebować wody, by nie zemdleć.

Makiewicz szepnął, iż doktor to zapisać może i stary uległ.

Powiedziałam teraz o kaplicy; było znowu wahanie się, namyślanie i w końcu pozwolono chodzić mi co trzecią niedzielę, gdy chodzą kobiety do kościoła.

— Niech się pani namyśli — powiedział naczelnik na pożegnanie — i co bądź zechce pani mieć, proszę się zwrócić z żądaniem bądź do swego strażnika, bądź do Makiewicza, a spełnionem zostanie; miło mi będzie pomyśleć, iż pobyt pani tu możliwie dogodnym zrobię, — a proszę też nam nie chorować. Czy ma pani książki?

Odpowiedziałam twierdząco, dodąłam parę słów uprzejmych i naczelnik odszedł.

W zachowaniu się Kudliga widzę pewną zmianę, nie zagląda mi już przez otwór w drzwiach i uprzejmie pyta teraz:

— Czy pani dziś pozwoli na spacer?

Zdaje mi się, iż doktór musiał wpłynąć nieco na p. naczelnika i z tego ta wizyta, mimo to zapomnieć mu odmowy łóżka nie mogę.

12 kwietnia. Powoli poznaję całe umęczenie więzienne, chodzę na spacer i przez te pół godziny mam sposobność do różnych spostrzeżeń. Ceremonja wyprowadzenia mię jest zwykle ta sama, którą opisałam przy wizycie u doktora. Są trzy podwórza, po których chodzą więźniowie: kobiece tak zwane, gdyż nań wychodzą mieszkania uwięzionych kobiet, „za kratą“ mające z jednej strony kaplicę, z drugiej kuchnię i łaźnie więzienne, i trzecie: wspólne, gdyż po niem chodzą zwykle więźniowie kryminalni, a ci chodzą wszyscy jednocześnie. Politycznych wypuszczają pojedynczo na kobiece i za kratą jako największym przestępcom nie wolno im widywać się ze sobą, to też strażnicy usilnie przestrzegają, byśmy się wypadkiem ze sobą nie spotkali. Mimo to widziałam już nie jednego z więźniów, i oni mię nieraz widzieli, oba bowiem podwórza połączone ze sobą bramą, i na „za kratę“ trzeba iść przez kobiece, to też bądź idę, bądź też, gdy brama przez nieuwagę strażnika jest chwilę nie zamkniętą, widuję moich współtowarzyszy. Są to przeważnie bardzo młodzi ludzie, 18—25 lat najwyżej, o ile sądzić mogę, przeważnie ochotnicy z fabryk, sporo też jest izraelitów, na wszystkich odbija się pobyt w więzieniu, bladość, charakterystyczna cera ludzi, pozbawionych słońca i ruchu. Przechodząc koło mnie, witają mię niemal wszyscy ukłonem, pozdrawiamy się wzajemnie. W naszym pawilonie mieszka 42 więźniów, w drugim z lewej strony podwórza są też polityczni, ale ilu ich jest, nie wiem i nikt mi nie powie, bo i p. Julja strzeże tajemnic grobu za życia. — Wiem naprzykład, iż w drugim pawilonie jest kobieta, a p. Julja wczoraj zaręczała mi, iż jestem tu jedyną kobietą uwięzioną za po-

litykę, jak mówią strażnicy. — Gdy sprawa jaka przejdzie wszelkie instancje, żandarmów i prokuratora i więzień skazany jest na odbycie kary, to pozwalają towarzyszom spędzać całe dnie ze sobą i dopiero na noc odosobniają ich; jest tu kilku w podobnem położeniu, siedzą więc w dzień w jednej celi, chodzą razem na spacer na „Wspólne“ i dopiero wieczorem rozstają się. Na kobiecem podwórzu bawią się dzieci, miałam pokusę, by się do nich zbliżyć, ale powstrzymała mię myśl, iż może to są dzieci strażników, w takim razie, cóż by mię przyszli stróże więzień obchodzić mogli, w dodatku posądzono by mię o chęć zjednania sobie ojców, — a wcale tego nie pragnę. Mimo tęsknoty, mimo niepokoju o drogich moich, osobista sprawa nie przeraża mię wcale, wiem, że jest błahą, że tylko w Rosji można za podobną rzecz być uwięzioną i że za parę tygodni muszę być wolną, a zresztą, gdybym nawet miała tu być parę miesięcy, to jeszcze mam nadzieję nie wpaść w rozpacz ani zesłabnąć tak, by prosić u jakiej takiej władzy, lub też przekupywać strażników, w czem miałabym nielada trudność. Kudlig zdaje się nie byłby do przekupienia, jest to sfanatyzowany chłop, którego tępa głowa uznaje przedewszystkiem rozkaz władzy. W niedzielę stawia stołek na środku kurytarza, klęka i głośno odmawia modlitwy, kościół miejski jest tak blisko, iż na kurytarzu i w celach słyszymy śpiew i muzykę organów. Pewną jestem, iż i modląc się, Kudlig nie zapomina o tem, iż jest strażnikiem więziennym, i nie ręczę, iż taką modlitwę zasyła do niebios: „Boże wielki, wszechmogący, daj mi umiejętność dobrego pilnowania cel oddanych mej pieczy, niech mi żaden nie ujdzie, niech kartka żadna niedozwolona nie dojdzie rąk jego, niech mam oczy zdolne patrzeć po przez zamknięte szczelnie drzwi, uszy, słuchać przez mury, niech umiem odgadnąć każdą myśl więźnia i podać ją do wiadomości p. starszego, lub naczelnika, a siły moje niech starczą na długie lata do pilnowania tych przestępców, gdy zaś, o Boże, powołasz mię z tej ziemi, niech tam po przed Twym tronem śmiało rzec mogę: jam jest ten, który strzegł państwa i cara, wierny i uczciwy sługa jego, dozwolonem mi ma być użyć wczasu na łonie Abrahama.“

Mimo tej modlitwy, Kudlig nie dokucza nam więźniom w niczem, ale i tu władza gra wielką rolę; niech zamiast Wierusza, stanie inny naczelnik, zły i okrutny, Kudlig będzie jego prawą ręką. Parę razy widziałam go już na korytarzu, podsłuchującego pode drzwiami więźniów, wspólnie siedzących, a ileż to razy widziałam, jak się przygląda mi przez okienko w drzwiach, a gdy nic dojrzeć nie może, wchodzi pod rozmaitymi pozorami do mej celi. Jakim jest Makiewicz, nie wiem, pozornie bardzo grzeczny i uprzejmy, chętnie spełnia żądania więźniów a nawet czasem poradzi, do kogo się udać w jakiej potrzebie, w każdym razie nie ufałabym strażnikom. Innych nie znam, na spacer wyprowadzają nas dyżurni i ci nigdy nie są sami z nami; zwykle, gdy chodzę po podwórzu, siedzi tam conajmniej czterech strażników, — a jak dobrze pójdzie, to i sześciu. Złodzieji o wiele mniej pilnują, często na podwórzu siedzą rozmaici przestępcy, to szorując kotły z kuchni, to rąbią lub piłują, rozmawiają ze sobą swobodnie, żartują i w żartach nie raz biorą udział nawet strażnicy.

16 kwietnia. Dziś po raz pierwszy byłam w kaplicy więziennej, dziwnie smutne i gnębiące wrażenie bytność tam na mnie zrobiła. Gdym tam weszła z p. Julją, wszyscy już byli zebrani, kobiety stały u ołtarza, dalej za niemi mężczyźni. Uboga kaplica, ubogi ołtarz, pełno policjantów wśród więźniow, pomocnik naczelnika, wszystko to gnębiąco oddziaływało na mnie. Z kąta za konfesjonałem przyglądałam się więźniom, z politycznych byłam jedną, i wątpię, czy wogóle bywają oni w kaplicy; kobiety przyszły podstrojone odświętnie, każda włożyła, co miała najlepszego, niektóre wysoko upięły sobie włosy, bardzo starannie je ukarbowawszy. Cóż w tem dziwnego, wszak te biedne istoty tylko w kaplicy mają sposobność widywania mężczyzn, to też niejeden zalotne spojrzenie rzucał poza siebie. Były między niemi kobiety stare, których smutne, znękane twarze budziły żal i współczucie, przeważnie jednak od lat 28 do 35, kilka młodych dziewczątek, a przytem dzieci małe. Niepolicjantów dzieci widywałem na podwórzu, lecz więźniów nie — były tu bowiem z matkami. Zauważyłam jedną rzecz: kobiety nie wyglądały ani nędznie ani też wymizerowane tak bardzo nie były, z małymi przynajmniej wyjątkami, wszystkie miały twarze wesołe, cerę zdrową i świeżą; mężczyźni za to okropne robili wrażenie: ich wynędzniałe, wychudłe twarze, żółto-ziemista cera ujawniała pobyt w więzieniu, brak dobrego od-

żywienia a ponure lub ogłupiałe oczy dowodziły wielkiego zwyrodnienia. Napróżno szukałam w ich twarzach szczerego, wesołego spojrzenia, tak zwykłego u naszego ludu, widziałam tylko dziwną tępość w oczach, jakiś ból, niechęć i niewiarę, ludzie ci mieli wzrok obitego, głodnego psa. Nędzne więzienne ubranie uwydatniało chudość ich ramion i nóg. Byli to prawdziwi więźniowie. Ksiądz wyszedł ze mszą. Makiewicz ukląkł w środku kaplicy i zaintonował jakąś pieśń kościelną, łkanie mię dusiło, ukryłam twarz w dłoniach i starałam się nic nie słyszeć, ta msza z akompaniamentem śpiewu policjantów, to szczyt więzienia. Mężczyźni stali lub klęczeli w milczeniu, ich odrętwiałe lub ponure twarze nie robiły wrażenia pobożnego, kobiety śpiewały wraz z Makiewiczem. Po ewangelji kapłańskiej, Makiewicz wziął książkę, stanął w środku kaplicy i zaczął czytać ewangelję na Niedzielę Palmową. Zastępował więc organistę i wikarego. Miałam tak całego nabożeństwa dość, iż skoro ksiądz odszedł od ołtarza, rzuciłam się ku drzwiom.

— Proszę, niech Pani zaczeka — szepnęła p. Julja, trzeba, by wpierw wyszli mężczyźni.

Odsunęłam ją od drzwi.

— Duszę się, rzekłam, i miałam drogę wolną. Policjanci stojący u drzwi rozstąpili się.

— Słabo pani? zapytała p. Julja, wybiegając za mną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

„Kwartalnik historyczny“ organ T-wa historycznego. Wyd. Aleksander Semkowicz. Rocznik XX. 1906. Zeszyt I. i II.

Nowa redakcja kwartalnika, dawny bowiem redaktor p. Papée po przeniesieniu go do Krakowa ustąpił z tego stanowiska, a objął je właśnie p. Semkowicz, uczyniła zaraz na wstępie miłą niespodziankę, wydając niebywałych rozmiarów podwójny zeszyt, a to w tym celu, by odtąd każdy zeszyt okazywał się z początkiem kwartału, a nie jak w ostatnich czasach dość często zdarzało się, przy końcu. Lecz nie tylko rozmiarami, bo także i treścią wyróżnia się ten zeszyt. Rozpoczyna go część pierwsza wybornego artykułu, prof. Balzera p. t. „Z powodu nowego zarysu historji ustroju Polski“ krytykującego dzieło p. Kutrzeby, następują po nim „Dwa objaśnienia do dziejów Litwy“ p. Prochaski, a mianowicie, I. „O apostazji Mendoga“ i II. „O autentyczności darowizn Mendoga“, darowizn dla zakonu krzyżackiego — dalej następuje rozprawa bardzo ciekawa p. Kopystiańskiego, p. t. „Książę Michał Zygmuntowicz“ opowiadająca losy syna brata Witołdowego, który zginął tragiczną śmiercią w Moskwie. Dział rozpraw wreszcie kończy rzecz prof. Starzyńskiego „Kilka słów o Stanach galicyjskich“, mająca również, jak i pierwsza tu wymieniona prof. Balzera, charakter polemiczny i krytyczny, bo napisaną jest z okazji książki dra. Br. Łozińskiego: „Galicyjski sejm stanowy“.

W Miscellaneach, następujących po rozprawach, znajdują się dwie bardzo ciekawe rzeczy, jedna to bawiącego obecnie w Warszawie W. M. Kozłowskiego: Rozstanie się Kościuszki z Niemcewiczem w Filadelfji na podstawie dokumentów i listów, a druga również źródłowa, Dra Br. Łozińskiego: Z czasów i aktów dominikalnych.

Kolejno postępują recenzje i sprawozdania z 20 książek, bibljografje, historji powszechnej i polskiej, Kronika, Sprawozdanie Towarzystwa historycznego, Polemika, kończy zaś artykuł prof. Bruchnalskiego, zawierający Wspomnienie pośmiertne o Romanie Pilacie. *Br. P.*

Prof. Karol Andler: Wstęp historyczny i krytyczny do Manifestu komunistycznego Marxa i Engelsa. Wyd. Pol. Tow. Nauk. Lwów, 1906 r.

Powyższa praca jest cennym nabytkiem naszego piśmiennictwa. Autor jej, profesor uniwersytetu w Paryżu, młody jeszcze i wybitny badacz, rozpatruje w dziełku powyższem tło historyczne, na którem powstały koncepcje społeczno-polityczne, zawarte w słynnym manifeście, i wpływ różnych wybitnych pisarzy na Marxa i Engelsa.

Z pracy prof. Andlera widać, że twórcy naukowego socjalizmu mieli już grunt bardzo przygotowany i teorja walki klas, koncentracji kapitałów, wpływ rozwoju wielkiego przemysłu na powstawanie dążności socjalistycznych i możność ich realizacji, oraz wielu innych poglądów, wypowiedzianych później w ścisłem sformułowaniu i powiązanych w jedną konsekwentną całość przez Marxa i Engelsa — znajdowały już, przed wyjściem na świat słynnego manifestu, swój wyraz w dziełach różnych pisarzy, przeważnie francuskich. Że tak było istotnie, wiedziano o tem ogólnie i dawniej, ale dopiero prof. Andler wykazał w sposób nader ścisły, co wzięli Marx i Engels od swoich poprzedników. Wykazując to wszystko, na podstawie erudycji i bystrości krytycznej, prof. Andler nie chce bynajmniej zmniejszać zasług twórców socjalizmu naukowego, ujawnia jednak szczegółowo wpływy, którym podlegali, przez co rola ich w ruchu społecznym i historji doktryn socjalnych jest obecnie lepiej znacznie, niż poprzednio, wyświetloną.

Wykład prof. Andlera jest bardzo zwięzły i przejrzysty, książka jego jest niezbędną dla tych, którzy interesują się socjalizmen. Przekład dobry.

L. Kul.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ“ we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.